

KRESOWIAK GALICYJSKI

ISSN 1426-4773



W NUMERZE:

- Kronika policyjna
- Od morwy do jedwabiu
- Kościół w Narolu
- Edukacja w liceum

Indeks 334596

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 2 (195) www.kresowiakgalicyjski.pl

luty 2013

Cena 2,50 zł (w tym 5% VAT)

Lasy największym bogactwem powiatu



Rozmowa z nadleśniczym Nadleśnictwa Lubaczów Zenonem Szamrunkiewiczem
Jak rozległy jest terytorialnie obszar lasów objętych nadzorem i opieką Nadleśnictwa Lubaczów?

Nadleśnictwo Lubaczów jest jednym z 26 nadleśnictw i czwartym co do wielkości w Regionalnej Dyrekcji Lasów. Lasy będące pod naszą kuratelą zajmują 21300 hektarów i połowę terytorium naszego powiatu. Obszar Nadleśnictwa rozciąga się wzdłuż wschodniej granicy Polski.

Specyfiką lasów naszego Nadleśnictwa jest ich niezwykle rozczłonkowanie i w sumie mamy aż 64 kompleksów leśnych. Ich wielkość jest w granicach od 1 do kilku tysięcy hektarów. Jedną z nich leży na terenie najwyższego Roztocza a druga w okolicach Lubaczowa i na południe aż do Wielkich Oczu- Płaskowyż Tarnogrodzki. Najbardziej malowniczy obszar Nadleśnictwa leży na Roztoczu Wschodnim (obwód Horyniec). Jest on objęty granicami Południoworoztoczańskiego Parku Krajobrazowego i stanowi najwyższą część Roztocza w granicach Polski ze wzniesieniami Kragły Goraj i Długi Goraj. Na tym terenie, pociętym stromymi wąwozami, znajdują się liczne źródła i ciek, dopływy Brusienki, Świdnicy, Sopotu i Raty.

W ramach obszarów leśnych mamy 1000 hektarów gruntów rolnych w tym łąki, pastwiska, nieużytki. Będąc beneficjentem środków unijnych 370 hektarów wykorzystujemy w ramach programów unijnych, 180 hektarów jest wydzierżawionych przez osoby fizyczne oraz przez koła łowieckie a pozostałość to nieużytki.

Charakterystyczną cechą naszego Nadleśnictwa jest też duże zróżnicowanie terenu, od najniższego 182 m. nad poziomem morza w okolicach Lubaczowa, do najwyższego w okolicach Horyńca 391 m (Okragły i Długi Goraj).. Należy przyznać, że teren Roztoczański jest przepiękny i ma niesamowity urok. Mamy bardzo żyzne środowiska leśne i na tym terenie winne rosnąć takie gatunki jak buk, dąb, jodła. Tymczasem w naszych lasach rośnie 60 % sosny. Wynika to z faktu, że po II wojnie światowej i po akcji „Wisła” a więc po wysiedleniu Ukraińców pozostały olbrzymie tereny nie zamieszkałe, które w ramach Krajowego Programu Zwiększenia Lesistości zostały zalesione głównie sosną. Można powiedzieć że w ten sposób zalesiono 40 procent gruntów.

Czy obszar lasów się zmienia?

Jak już wspomniałem 40 procent zalesień wystąpiło po wojenne. Później dopiero w latach 90 tempo zalesień gwałtownie wzrosło ponieważ Agencja Rolna duże obszary po PGR przekazywała Nadleśnictwu do zalesienia. Akcja ta trwała do 2006 roku. Aktualnie niewielkie zwiększanie obszarów zalesiania odbywa się w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Warto wspomnieć, że w ostatnich 6 lat około 1000 ha. zostało zalesionych przez osoby fizyczne.

W jakiej skali występuje zjawisko kradzieży drewna?

Gdy obejmowałem kierownictwo Nadleśnictwa w Lubaczowie w skali roku odnotowywano 60 – 70 kradzieży -ok. 100 m. sześciennych drewna. Niegdyś, jak się dowiedziałem od współpracowników, na naszym terenie funkcjonowały grupy przestępcze trudniące się kradzieżą drewna na większą skalę. Systematyczna codzienna przewencyjna akcja spowodowała, że poziom kradzieży w ostatnich kilku latach zmniejszył się do 30 – 40 przypadków (ok 50 m sześciennych drewna w skali roku). Część tego drewna odzyskujemy. Dziś oprócz

cd. na str. 3

Konkurs na ordynatora Oddziału Chirurgicznego w lubaczowskim szpitalu rozstrzygnięty!

22 stycznia br. odbył się konkurs na stanowisko ordynatora Oddziału Chirurgicznego lubaczowskiego szpitala. Chociaż na mieście i w szpitalu (oprócz Dyrekcji) wszyscy znają jego wyniki ja nie mogę niczego napisać, gdyż nie są one jeszcze prawomocne. Dopiero po 14 dniach od daty konkursu, gdy nikt nie wystąpi z wnioskiem o unieważnienie postępowania konkursowego, decyzja Komisji Konkursowej powołanej do wyboru ordynatora stanie się prawomocna. Albowiem jak mówi stare lokalne porzekadło: Nie zbadane są wyroki Opatrzności Bożej i Sądu lubaczowskiego więc trzeba cierpliwie poczekać na oficjalne wyniki. Obiecuję Szanownym Czytelnikom w następnym numerze zamieścić szczegóły konkursowe, jak też wywiad z nowym ordynatorem (jeśli dostąpię tego zaszczytu). W marcowym Kresowiaku podam termin i skład Komisji do wyboru zastępcy dyrektora SP ZOZ w Lubaczowie do spraw lecznictwa.

Jest to bardzo ważny konkurs. Od jego wyników zależeć będzie praca kadry medycznej szpitala. Czy ten człowiek wykończy ogromny potencjał jakim dysponuje szpital, mam tu na myśli szczególnie lekarzy i średni personel medyczny. Istotnym będzie stosunek do podległego personelu, czy zechce od siebie i od nich wymagać więcej, czy będzie tylko dobrym kolegą, którego można wodzić za nos. Jak ułoży sobie współpracę z rzeszą związkowców, których część członkostwo w zarządzie poczyniła sobie tarczę ochronną.

Dla zobrazowania wzajemnych relacji między przełożonym a podwładnym przytoczę znaną wszystkim starszym pracownikom anegdotę. Antoni Ziętek nieodżałowany dyrektor, ordynator i chirurg, zobaczył, że lekarz w upalny dzień przyszedł do pracy w krótkich spodenkach i koszulce gimnastycznej. Złapał stojącą pod ręką szcztokę do zamiatania i okładając nią tego lekarza, gonił go po pobliskim lesie. Wtedy nikt nie używał słowa mobbing, a dyrektor lub ordynator wymagał szacunku do wykonywanego zawodu nawet takimi metodami. Gdyby doktor Ziętek dowiedział się, że lekarz na dyżurze czyta gazetę, a pacjenci czekają na pomoc,

cd. na str. 3

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Lubaczowie inicjatorem Programu Stypendialnego dla uczniów

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Lubaczowie wraz z instytucjami wspierającymi - Stowarzyszeniem Rozwoju Edukacji i Poradnią Pedagogiczną - Psychologiczną stał się inicjatorem utworzenia Programu Stypendialnego dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych o charakterze ogólnokształcącym. Celem tworzenia Funduszu Stypendialnego jest wspieranie rozwoju uzdolnień u uczniów szkół ponadgimnazjalnych powiatu lubaczowskiego, promowanie wartości edukacji oraz inicjowanie współpracy środowiska lokalnego w tym zakresie. O stypendium mogą starać się uczniowie szkół ponadgimnazjalnych (liceów ogólnokształcących, liceów profilowanych i techników) powiatu lubaczowskiego. Uzyskanie stypendium jest uzależnione od spełnienia warunków regulaminu oraz kryteriów szczegółowych w poszczególnych edycjach.

www.bslubaczow.pl

„Stokrotki” z Cewkowa nagrodzone

W niedzielę 13 stycznia, Pawłosiów był gospodarzem XIV przeglądu Grup Śpiewaczych z terenu powiatów: jarosławskiego, przeworskiego, lubaczowskiego i przemyskiego. Coroczny przegląd ma na celu ukazanie pięknych tradycji kołędniczych, sięgających do dawnych regionalnych tekstów kołęd, pastorałek i kantyczek, jak i prezentację kołęd świeckich.

Organizatorami przeglądu byli: Stowarzyszenie Folklorystyczne „Pawłosiowanie”, Parafia Rzymsko – Katolicka w Pawłosio-
wie, Centrum Kulturalne w Przemyslu oraz Gminny Ośrodek Kultury w Pawłosio-
wie. Jury po wysłuchaniu 17 prezentacji postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia: Trzy równorzędne I nagrody ufundowane przez Centrum Kulturalne w Przemyslu oraz Parafię Rzymsko – Katolicką w Pawłosio-
wie dla Zespołu Śpiewaczego „Stokrotki” z Cewkowa., Ludowego Zespołu Śpiewaczego „Dolanie” z Gniewczyny Trynieckiej oraz dla Zespołu Śpiewaczego z Rożnutowa. Ponadto zespoły śpiewacze: „Stokrotki” z Cewk-
owa i „Dolanie” z Gniewczyny Trynieckiej otrzymują nagrody rzeczowe - dyktafony ufundowane przez Starostę Powiatu Jarosławskiego

www.starydzikow.pl

Wieczór z kołędami i jasełkowym przedstawieniem w Lipsku

Chór Tanew z Narola i Teatrzyk Albercik ze Szkoły Podstawowej im. Św. Brata Alberta w Narolu przygotowali specjalny wieczór z kołędami i jasełkowym przedstawieniem w świetlicy w Lipsku.. W ogrzanej ciepłem z kominków świetlicy, na scenie prezentowali się najstarsi i najmłodsi artyści. Po Jasełkach na scenie zagościł Chór Tanew, pod dyrekcją Swietlany Karczewskiej. Ze sceny rozbrzmiewały najstarsze polskie kołеды, ale i takie, których często się nie pamięta. Seniorzy z Chóru Tanew przygotowali także niespodzianki. Natalia Wa-

szek wykonała prawosławną, rosyjską kołędę „Cicha noc nad Palestyną”, a Józef Jan Waszek wykonał a'capella „Cichą Noc” po niemiecku. Również solowy utwór wykonała Swietlana Karczewska, która przedstawiła kołędę „Gdy zapada grudniowa noc”. Na koniec chórzyscy przedstawili kołеды i pastorałki nowoczesne, jak chociażby „Dziś w stajence” czy „Zasnij Dziecino, Boże Dziecię”. Za świąteczny wieczór wszystkim wykonawcom podziękowania złożył sołtys Lipska Antoni Steczkiewicz.

NCI

Zmarł Krzysztof Krzych

W wieku 57 lat zmarł wywodzący się z Lubaczowa malarz i pedagog – Krzysztof Krzych dyrektor Zespołu Szkół Plastycznych im. Stanisława Wyspiańskiego w Jarosławiu. Krzysztof Krzych ukończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie - Wydział Grafiki w Katowicach, dyplom tej uczelni uzyskał w 1986 roku w pracowni prof. Adama Romaniuka. Debiutował w 1987 r. wystawą malarstwa w jarosławskiej „Galerii 34” i od tamtej chwili zaprezentował ponad 30 wystaw indywidualnych i brał udział w ponad 40 wystawach zbiorowych, gdzie otrzymał wiele nagród i wyróżnień – Salon Przemyski 1986, 1987, 1988, Obraz '92 BWA Przemysł, III Międzynarodowe Biennale Pasteli - Nowy Sącz 2006, „Bielsko-Biała – pastelowe miasto” 2007. Jego prace znajdują się głównie w zbiorach prywatnych w Polsce, a także: USA, Japonii, Kanadzie, Niemczech, Włoszech, Australii, Austrii, Szwecji, Peru, Ukrainie i Rosji.

Równocześnie z działalnością artystyczną, od 1999 r. był pedagogiem w Zespole Szkół Plastycznych im. Stanisława Wyspiańskiego w Jarosławiu, gdzie od stycznia 2008 r. do stycznia 2013 r. pełnił funkcję dyrektora.

MW

Leksykon podkarpackich smaków

Leksykon podkarpackich smaków to kolorowy album wydany przez Urząd Marszałkowski w Rzeszowie. Zawartych są w nim najlepsze przepisy tradycyjnych potraw. Miło nam donieść, że w leksykonie znajdują się trzy potrawy z naszego powiatu. Jest nim Miód Lubaczowski, firmowany przez Urząd Gminy Lubaczów, Pieróg dachnowski z kaszą gryczaną i ziemiami opracowany przez KGW z Dachnowa oraz Gołąbki z Nowego Siola podane również przez KGW z tej miejscowości.

MW

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Lubaczowie wyróżniony

Wyniki konkursu ogłoszono podczas Zgromadzenia Prezesów Banków Spółdzielczych z Grupy BPS. Najlepsze banki grupy ustalono w oparciu o zweryfikowane przez biegłych rewidentów dane sprawozdawcze banków za lata 2010 oraz 2011. Oceniono m.in. bilanse i rachunki wyników oraz specjalistyczne wskaźniki weryfikujące stabilność danej placówki. Wszystkie dane przeliczono na odpowiednią liczbę punktów, która decydowała o pozycji banku w całym rankingu.

- Bardzo cieszy nas to wyróżnienie. Znaleźliśmy się w gronie najlepszych kilkunastu ban-

ków spółdzielczych spośród kilkuset zrzeszonych w całej grupie. To sukces, który potwierdza dobrze realizowaną i od lat stabilną politykę finansową naszego banku – podsumował Paweł Kapel, prezes zarządu PBS w Lubaczowie. Powiatowy Bank Spółdzielczy w Lubaczowie, uzyskał w konkursie uzyskał 1240 punktów.

www.elubaczow.com

Protest załogi Uzdrawiska Horyniec Zdrój

Załoga Uzdrawiska Horyniec Zdrój nie zgadza się na prywatyzację proponowaną przez Skarb Państwa. Oflagowała więc budynek i domaga się zamknięcia procesu prywatyzacyjnego bez rozstrzygnięcia. Sto procent udziałów uzdrawiska Horyniec ma teraz Skarb Państwa. Spółka ma być jednak sprzedana a wyłączone na negocjacje dostał miejscowy prywatny inwestor, który według załogi nie gwarantuje rozwoju uzdrawiska. Choć negocjacje są objęte tajemnicą pracownicy dotarli do informacji, że uzdrawisko, które jak podnoszą jest perłą na mapie takich placówek w Polsce, ma być sprzedane za śmiesznie niską ich zdaniem kwotę. 7 milionów to jak oddanie uzdrawiska za darmo. Alarmują, że świadczy to o tym, że proces prywatyzacyjny nie jest do końca wiarygodny i jako pracownicy chcą aby został zamknięty bez rozstrzygnięcia. Pracownicy mają żal, że wszystko odbywa się poza nimi, że nie wiedzą o losach swojego zakładu a to największy pracodawca w gminie. Załoga uzdrawiska liczy, że do prywatyzacji w ogóle nie dojdzie. Wszyscy zgodnie chcą tu komunalizacji czyli by akcje Horyńca jak w przypadku uzdrawiska Rymanów przejął samorząd województwa, nie chcą sprzedaży. Zarząd potwierdza, że uzdrawisko przynosi zyski, w ciągu roku przyjmuje ponad 4 tysiące kuracjuszy. Pracownicy tydzień temu do komunalizacji przekonywali w Warszawie w Ministerstwie. Teraz chcą się jeszcze spotkać z marszałkiem. W sierpniu samorząd województwa przyjął uchwałę intencyjną w sprawie komunalizacji Uzdrawiska Horyniec. Na razie nie może jednak przejąć akcji Horyńca, bo trwa procedura prywatyzacyjna. Członek zarządu województwa Sławomir Miklicz powiedział nam, że samorząd jest zainteresowany takim rozwiązaniem.

www.tv.pl/rzeszow

Nowy bazar w Lubaczowie

W Lubaczowie przy ulicy Handlowej powstanie stały bazar który przyczyni się do wyeliminowania ulicznego handlu z ulicy Baziaka oraz tzw małego targu w centrum miasta. Dzięki temu znacznie poprawią się warunki sprzedaży i kupna oraz obsługi klientów. Przy ulicy Handlowej wybudowane zostaną pawilony z małą gastronomią, boksy handlowe parking i droga dojazdowa. Na bazarze znajdą się także kioski, ławki a nawet stojaki na rowery. Cała budowa będzie kosztowała ponad 1,5 mln zł. Część pieniędzy miasto pozyskało z programu Rozwoju obszarów Wiejskich „Podstawowe Usługi dla gospodarki i ludności wiejskiej”

Nowiny

cd. ze str. 1

Lasy największym bogactwem powiatu

przypadkowych kradzieży drewna, plagą są nielegalne wjazdy do lasu. Ludzie uważają, że jeśli jest do lasu droga, to można wjechać. Oczywiście można się poruszać drogami, które prowadzą do konkretnych miejscowości i są oznakowane znakami drogowymi.

Warto wspomnieć, że na ponad 20 tys. hektarów lasu w Nadleśnictwie, zatrudnionych jest tylko 60 osób a tylko 30 pracuje bezpośrednio w terenie. Oczywiście jest, że nie mamy możliwości aby zabezpieczyć i upilnować lasów ale dzięki dobrej współpracy z Policją i Strażą Graniczną udaje się nam ograniczać kradzieże.

Ekolodzy w kraju biją na alarm, że nasze lasy są zaśmiecane. W jakiej skali to zjawisko występuje na naszym terenie?

Problem ten występuje nie tylko na terenie naszego Nadleśnictwa. Wciąż u ludzi brakuje poczucia odpowiedzialności za wspólne dobro jakim jest nasze środowisko leśne. Dość często widzimy w lesie całe worki ze śmieciami. Nie zawsze są to reklamówki ale odnotowujemy przypadki że śmiecie do lasu wywożone jest nawet samochodami. Pozytywnym zjawiskiem jest, że świadomość ochrony lasów zaczyna wzrastać. Działalność edukacyjna, którą prowadzimy w szkołach przynosi efekt. Mam nadzieję, że takim milowym krokiem dbałości o środowisko jest nowa regulacja prawna, która na gminy nakłada obowiązek dbania o czystość a tym samym nakłada to na każdego obywatela składowania odpadów. Jeśli każdy będzie musiał płacić, to zrezygnuje z wywożenia śmiecia po ciemku gdzieś do lasu ale będzie je gromadził w pojemniku wystawionym przed swoją posesją. Do tej pory w skali roku zbieraliśmy w granicach 100 – 150 metrów sześciennych śmiecia.

Zagrożeniem dla lasów są również pożary?

To prawda, oprócz śmiecia ważne są zagrożenia pożarowe. Nasze lasy złożone są z szeregu kompleksów leśnych poprzedzielanych polami. Takim nagminnym grzechem tutejszego społeczeństwa jest wiosenne wypalanie traw i nieużytków. Z tych też powodów w 2007 roku mieliśmy pożar 10 hektarowego obszaru lasów. Tylko dzięki drogom, którymi ten kompleks leśny był poprzedzielany, pożar się nie poszerzył. Szczególnie wiosną 2012 roku wypalanie było prawdziwą plagą. Aby temu zjawisku przeciwdziałać mamy system telewizji przemysłowej, w którym uczestniczy pięć Nadleśnictw. System ten pozwala obserwować cały obszar i dzięki niemu możemy szybko zlokalizować pożar oraz zgasić go w zarodku. I to nas ustrzegło przed większymi szkodami.

W sporej części lasy w powiecie leżą na terenach chronionych (parki krajobrazowe). Jakimi osobliwościami temu towarzyszą?

W tym względzie mamy się czym pochwalić. Walory przyrodnicze, estetyczne oraz działalność minionych pokoleń spowodowało, że mamy szereg obszarów stanowiących perły przyrodnicze. Obszary chronione w ramach programu Natura 2000 obejmują aż 60 procent powierzchni Nadleśnictwa. Wśród nich jest obszar typowo ptasi gdzie priorytetem jest ochrona fauny. Spora część terenu objęta jest również ochroną Południoworostockańskiego Parku Krajobrazowego, który obejmuje powierzchnię 16200 hektarów z tego na terenie Nadleśnictwa Lubaczów jest 9800 hektarów. Mamy też Obszar Chronionego Krajobrazu o powierzchni 32 tysięcy hektarów z czego na terenie Nadleśnictwa - 10 tys. ha. Ponadto mamy cztery rezerwy: Najstarszy rezerwat to Jedlina, o powierzchni 67 hektarów chroni stanowiska starodrzewów jodłowych. Drugim rezerwatem jest rezerwat Sołokija chroni stanowisko jałowca. Ukształtowały się one na pastwiskach gdzie dawniej wypasano bydło. Kolejny rezerwat Moczary z charakterystyczną roślinnością runa leśnego. Następny rezerwat Kamienne mający bardzo cenne siedlisko naturalne. Występują tu pomniki przyrody w formie pojedynczej sosny, dębu. Jest też Piaskownia w Dziewięcirzu gdzie ukazała się bardzo ciekawa struktura gleby - chroniona jako stanowisko dokumentacyjne. Z pomników przyrody słynny jest Diabelski Kamień koło Werchraty.

Osobliwości świata roślinnego i zwierzęcego?

Z roślin występuje tu rzadka kłokoczka południowa, która przez gospodarzy była sadzona jako krzew kulturowy. Z jej nasion wyrabiano olej a z owoców różańce. Występuje tu też czosnek niedźwiedzi, barwinek pospolity, kosaciec syberyjski, cebulica dwulistna. Jeśli idzie o faunę to na pewno należy wymienić motyle przelatek, modraszki, żmije, występują też liczne kolonie nietoperzy a z ptaków bocian czarny, puszczyk góralski, jastrzębie, myszokłowy i czasami zalatuje orzeł bielik i orlik. Z ssaków ostoję tutaj ma ryś, wilk oraz bóbr i wydra. A z dużych roślinożerców łoś, jelen sarna. Licznie również występuje dzik. Jest to więc niezwykle bogaty teren w walory przyrodnicze i warto dbać o niego. cd. na str. 4

cd. ze str. 1

Konkurs na ordynatora...

to chyba tę gazetę musiałby ten czytelnik zjeść, bez względu na jej rozmiar. Nie namawiam do stosowania takich metod ale jako nauczyciel pamiętam, że najlepsza metoda osiągnięcia rezultatu swej pracy jest ta, która jest najszybsza.

W tej sprawie jest jeszcze jeden bardzo ważny moment, czy lekarz wybrany w konkursie będzie sprzyjał tendencji do prywatyzacji szpitala, do czego wielu lekarzy – szczególnie z niepublicznych zakładów opieki zdrowotnej – przybiera ostro nogami. Zapewne członkowie komisji konkursowej powołanej do wyboru zastępcy dyrektora do spraw leczenia SP ZOZ zdają sobie sprawę, jaka ciąży na nich odpowiedzialność, gdyż od ich wyboru będzie zależał funkcjonowanie szpitala w następnych sześciu latach. Mogą wybierać długo, mając świadomość, że ich udział w komisji będzie oceniał społeczeństwo naszego powiatu poprzez przyzmat trafności wyboru. Edward Dziadula

Zimowe wspomnianie (z sugestią na koniec)

Nie popaść w zimowy czas w melancholię – zadanie zgoła karkołomne (przynajmniej dla niżej podpisanego). Zima to szkaradna pora: zmarznięty człowiek siedzi pod dachem i w poczuciu bezradności, wywołanej także uświadomieniem sobie, że po noworocznej zmianie daty i on jest o rok starszy, próbuje szukać czegoś, co podtrzyma na duchu, we wspomnieniach. A jak lepiej wspomnienia wywołać niż przeglądając – koniecznie wykonane letnią porą – zdjęcia?



No więc tak przeglądając, tulę się do dobrych wspomnień. I mam: piękny letni dzień w gminie Narol, dzień – dzięki (teraz odrobina całkiem bezinteresownej kurtuazji...), w ordynku alfabetycznym beneficjatorów szeregując, burmistrzowi Stanisławowi Wosiowi, redaktorowi naczelnemu niniejszego oraz panu Janowi Wolańczykowi – tak bogaty we wrażenia, że doprawdy nie sposób pomieścić go w kategorii szarych i bez znaczenia. Jazda po rozmaitych drogach - krajowych, powiatowych i gminnych, całkiem lokalnych, polnych oraz leśnych - i króciutki postój w Dębinach. Postój, który zaowocował tym właśnie zdjęciem – małej, skromnej, krytej dachówką, z chylącą się ku upadkowi częścią gospodarczą, chałupiny.

Naturalnie, nie był to żaden siódmy cud świata, ale przez leciwość budynku i przez świadomość, iż dające poczucie bezpieczeństwa ściany stworzone zostały z modrzewiowych belek, budził sympatię. Oraz coś w rodzaju żalu: że ta chałupina, która dla kogoś była przecież domem, nie ma przyszłości. Bo kto chciałby zamieszkać w niekomfortowym, nieobszernym, z pewnością wymagającym przed zasiedleniem niemałych nakładów „skansenie”?

Ale – właśnie: a może ktoś by chciał? Przecież jest wielu bliznich, marzących o posiadaniu wiejskiej wilegiatury, kupujących działki letniskowe, stawiających na niej różne wynalazki, przywodzące na myśl wóz niezapomnianego Drzymały, a i rozpytyujących o okazjone sprzedaże nawet jako tako zachowanych ruder. Gdyby więc ułatwić im to – i zrobić przy okazji na pewno nie wielki biznes, ale całkiem pożyteczny interesik?

I gdyby tak – w okolicach, wspierających rozwój usług turystycznych i chcących umacniać swoją markę gmin gościnnych – zrobić rekonasans, spisać oraz sfotografować wszystkie pustostany, które nie mają gospodarzy, a które żal tracić z krajobrazu, sprawdzić ich stan prawny, dotrzeć do formalnych właścicieli i albo wykupić od nich, albo tylko – dowiedziawszy się, za ile byliby skłonni je sprzedać – wciągnąć na sze-

cd. na str. 4

cd. ze str. 3

Lasy największym bogactwem powiatu

Największym bogactwem powiatu lubaczowskiego są lasy. Jaka jest świadomość tej prawdy u ludzi. Co Nadleśnictwo czyni aby to przekonanie krzewić?

Powiat lubaczowski należy do jednego z najbardziej lesistych 49 procent to lasy. A więc jest co propagować. Aby to przekonanie krzewić Nadleśnictwo prowadzi szeroką działalność edukacyjną. Wszystkie obszary chronione są oznakowane tablicami. Ponadto zakładane są ścieżki dydaktyczne z tablicami informacyjnymi o walorach przyrodniczych tego miejsca i warunkach zachowania się na nich. Na terenie Nadleśnictwa mamy cztery ścieżki edukacyjne. Pierwsza ścieżka jest w otoczeniu rezerwatu Jedlina, przy której funkcjonuje ośrodek edukacyjny. Druga ścieżka o długości 3 km „Za Niwą” została wybudowana w bezpośrednim sąsiedztwie sanatoriów z przeznaczeniem dla kuracjuszy do miłego i ciekawego spędzenia czasu oraz poznania walorów przyrodniczych tego terenu. Kolejna ścieżka biegnie od Horyńca do cerkwi w Radrużu i z powrotem. Ostatnia ścieżka do Nowin Horynieckich, która prowadzi przez kompleks leśny gdzie jest kaplica Matki Boskiej Horynieckiej z „cudownym obrazem”. Co roku organizujemy konkursy edukacyjne dla uczniów szkół podstawowych jak i gimnazjów. A obecnie jesteśmy na etapie przebudowy budynku nadleśnictwa na ośrodek Edukacji Ekologicznej. Ze środków unijnych naszą świetlicę chcemy przebudować na potrzeby edukacyjne. A na poddaszu urządzimy dwie izby edukacyjne. Jedna z nich będzie reprezentować przyrodę tego terenu a druga będzie izbą tradycji. Co roku też organizujemy otwartą dla społeczeństwa i dla samorządów imprezę o charakterze sportowo-edukacyjną oraz Dni Otwarte Nadleśnictwa, poprzez które pragniemy zapoznać społeczeństwo z walorami przyrodniczymi i ekologicznymi lasów. Warto podkreślić że z tych form skorzystało już około 50 tysięcy osób.

Jakim budżetem dysponuje Nadleśnictwo?

W społeczeństwie panuje przekonanie że lasy to na pewno budżet. Tymczasem sami musimy wypracować środki na naszą działalność tak zawodową jak i społeczną. Nadleśnictwo jest instytucją samofinansującą się. Z wyjątkiem zadań zleconych (np. plany zalesień finansowane z PROW.) Nadleśnictwo nie otrzymuje z budżetu żadnego wsparcia finansowego. W powiecie należymy do jednych większych pracodawców. Na terenie Nadleśnictwa mamy 10 zakładów usług leśnych, które zatrudniają ponad 100 osób. W ramach działalności gospodarczej zabezpieczamy surowiec dla przemysłu drzewnego, który również zatrudnia pracowników. Pracownicy ci żyją w tym środowisku, płacą podatki i robią zakupy, co powoduje, że gospodarka się rozwija. Istotne jest również to, że las jest pochłaniaczem dwutlenku węgla, czyli zapewnia nam wszystkim świeże i zdrowe powietrze, którego coraz mniej w dzisiejszym „uprzemysłowionym” świecie. Ponadto lasy są otwarte dla społeczeństwa. Do lasów wyruszamy na wycieczki, spacerujemy po grzyby i inne owoce runa leśnego. A więc las pełni funkcje społeczne, ekologiczne, których nam nikt nie refunduje.

Czasem można usłyszeć zarzut, że leśnicy tną drewno i tym samym zubażają lasy!

Należy pamiętać, że drzewa mają określony okres żywotności a później obumierają. Mimo wycinek lasów cały czas ich przybywa w formie nowych zalesień. W ramach naszej działalności gospodarczej pozyskujemy tylko 60 procent drewna które przyrasta. A więc 40 procent drewna odkłada się na zapas, dla przyszłych pokoleń. Lasów przybywa i są one w dobrej zdrowotnej kondycji. Wycinanie drzew dla gospodarki jest niezbędne. Każdy z nas potrzebuje na co dzień produktów i wyrobów ekologicznych np; mebli, elementów budowlanych, naczyń itp.

Plagą bywa kłusownictwo. W jakiej skali ono występuje?

Przypadki kłusownictwa są sporadyczne. W 2010 roku w okolicach Łukawka został znaleziony padnięty łos z raną postrzałową, a w 2012 roku znaleziony został padnięty wilk. Nie jest znana przyczyna jego śmierci. Co roku organizujemy akcję profilaktyczną „Kłusownik” gdzie wspólnie z kołami łowieckimi z policją i Strażą Graniczną i odwiedzamy obszary które są zagrożone kłusownictwem. Spotykamy wnyki ale jest ich minimalna ilość.

Rozmawiał Marian Ważny

Nadleśniczy Zenon Szkamruk ukończył Technikum Leśne w Biłgoraju, później studia leśne na Akademii Rolniczej w Krakowie. Po ukończeniu studiów przez 18 lat pracował na różnych stanowiskach w Nadleśnictwie Sieniawa. A od 2004 roku został powołany na stanowisko nadleśniczego w Nadleśnictwie Lubaczów. Jest żonaty, ma czwórkę dzieci.

Zimowe wspomnienie

cd. ze str. 3

rko reklamowaną listę nieruchomości przeznaczonych do zaofiarowania miłośnikom spędzania czasu na wsi, na własnej przybywie? A pośrednicząc w ten sposób, osiągnąć chwalebny cel: ułatwić amatorom posiadania chałupy na wsi, w malowniczej okolicy, spełnienie marzeń – ale i ocalić przed zagładą przykłady architektury ludowej, a więc zadbać, by dziedzictwo kulturowe nie zostało zubożone.

Rozpadające się częstokroć domy znalazłyby właścicieli, dbających o nie, odsunięte zatem zostałyby niebezpieczeństwo, że za parę lat o tradycjach budowlanych regionu zaświadczać będą wyłącznie świątynie (względnie obiekty świeckie, mieszkalne, w porę przeniesione do jakiegoś skansenu), no a w gminie pojawiłaby się świeża krew; niekoniecznie od razu stali mieszkańcy, płacący podatki, ale na pewno ludzie, zostawiający jakieś pieniądze w miejscowych sklepach, restauracjach, punktach usługowych, i mogący – po wrośnięciu w środowisko – być może w jednym pomóc, jako członkowie swego lobby.

Czy taka gra nie jest warta świeczki?

Waldemar Bałda Fot. autora

Dar serca – Dzieci dzieciom

Kalkiem przypadkowo dowiedziałem się, że początkiem stycznia do Domu Dziecka w Nowej Grobli przywieziono książki, ubrania, zabawki, płyty z bajkami. Nikt tego ani nie zapowiadał, ani się nie spodziewał, że z Warszawy do Nowej Grobli mogą nadejść jakieś upominki. Okazało się, że dawna mieszkanka Cieszanowa Agnieszka Latusek z domu Komosińska przysłała przez swoją mamę Wandę zebrane upominki w firmie, w której pracuje. Accenutre Servires – firma zagraniczna zatrudniająca około 600 osób, – świadcząca usługi dla zakładów pracy, które nie chcą same prowadzić księgowości – zorganizowała imprezy świąteczne dla dzieci pracowników, podczas których zbierano dary dla innych dzieci, które potrzebują pomocy.

Mikołajki i Kiermasz Świąteczny dla warszawskich dzieci były nie tylko zabawą ale nauką dzielenia się tym co mają z anonimowymi rówieśnikami. Część tych darów serca trafiła do Nowej Grobli w gminie Oleszyce. Pani Agnieszka chciała być anonimowa, gdyż nie organizowała tego dla rozgłosu. Piszę o tej wzruszającej pomocy dla będących w trudniejszej sytuacji życiowej gdyż chciałem pokazać, że zwykli ludzie mają wiele serca, nie myślą tylko o sobie, a co najważniejsze uczą swoje dzieci dzielenia się z drugim dzieckiem. Warszawskie dzieci z pewnością nie wiedzą nawet do dzisiaj, gdzie leży Nowa Grobla, ale wiedziały że ich świąteczny upominek trafi do tych, którzy nie mają swoich domów, albo w ich domach rodzicielskich nie ma warunków do godziwego życia.

Jaka była reakcja obdarowanych dzieci? Pani dyr. Renata Bobrek mówi, że z takich podarków cieszą się wszyscy: dzieci, nauczyciele i dyrekcja. Książka zawsze była wielką wartością i wspaniałym upominkiem. Chcemy naszych podopiecznych nauczyć żyć z książką od najmłodszych lat. Dzieci z nowej Grobli wysłały swoim darczyńcom serdeczne podziękowania. Obie strony zapewniają, że nie był to jednorazowy odruch przyjaźni i pomocy.

Ta opisana historia nasunęła mi taką refleksję: Czy w naszym powiecie nie ma dzieci, które chętnie podzieliłyby się ze swoimi rówieśnikami? Czy we wszystkich rodzinach jest taka trudna sytuacja materialna, że tylko można narzekać? Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale odwiedźmy dzieci w placówkach opiekuńczych przez dzieci, które mają rodziców i żyją wśród nich na co dzień uzmysłowiłoby tym pierwszym, że ktoś ich ceni i szanuje, a drugim że mogą osobiście pomóc tym dla których los nie był łaskawy.

Edward Dziadula

*„Kresowiak Galicyjski” pismem Twych stron
rodzinnych. Twej małej ojczyzny, w której mieszkasz,
pracujesz, albo w której się urodziłeś i masz tutaj
krewnych, przyjaciół i znajomych.*

Kościół w Narolu (III)

1914.09.10 – wojska austriackie pod dowództwem gen. Harsa spaliły Narol wraz z kościołem, którego sklepienie się zapadło, ale z tej pożogi uratowano obraz Matki Bożej Narolskiej, namalowany we Włoszech, tam poświęcony w Bazylice Św. Piotra – słynący cudami, za które składano vota. Moja prababcia Katarzyna, zachorowała nagle na zapalenie płuc, lekarze byli bezsilni (nie było jeszcze antybiotyków!), ale modlitwy przed obrazem dokonały cudu – nagle wyzdrowiała i też dołożyła swoje srebrne serduszko do innych „vot”. Obraz został on zawieszony na przechowanie do kościoła w Łuszczowie (zdjęcie poniżej) i tam pozostaje do dnia dzisiejszego...



Dla piszącego te słowa jest oczywiste, że Matka Boża Narolska powinna wrócić do nas, tak samo jak Matka Boża Tartakowska wróciła do Tartakowa - dzisiaj na Ukrainie.

1915-17r- kościół w Narolu, został odbudowany i pokryty blachą ocynkowaną, wcześniej były gonty z Krakowa.

1929r- sprowadzono ołtarz główny z kościoła Św. Marii i Magdaleny we Lwowie, dzięki staraniom hr. Jadwigi Korytowskiej oraz dziedziczki z Łukawicy Marii Łokuciejowskiej.

1950 i 2000r- kościół został odmalowany wewnątrz, ale po tym ostatnim malowaniu:



Vota - jakie były w kościele (wisały one w ilości ok.100szt. na czerwonym suknie: 1,5x2m, po lewej stronie obok ołtarza głównego stojąc przed nim) - nie wróciły na swoje dawne miejsce w tej samej liczbie... Dzisiaj jest ich zaledwie 20%, uważam, że powinny wisieć wszystkie... Dlaczego tak nie jest? Czy ktoś zna przyczynę tego? Uważam, że gdy ktokolwiek ofiarowuje coś do kościoła, to „to coś” powinno się tam znaj-

dować, być traktowane z należyтым szacunkiem, lub ksiądz powinien odmówić przyjęcia i wtedy jest to uczciwe. Darczyńca powinien mieć możliwość opieki i troski nad darem.

Modrzewiowy ołtarz boczny w kaplicy (po lewej stronie) - też został usunięty z kościoła. Zdjęcia nie mam, bo mi po prostu 'do głowy nie przyszło', że można poświęcone, od wielu lat będące w kościele sanktuaria usuwać, bez zgody - Rady Parafialnej na piśmie-?

Obraz Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - namalowany po II wojnie przez art. malarza Pudelko w ołtarzu głównym, też został wymieniony (zastąpiony?) na nowy, a ten jest po prostu poniżej - dolnej granicy krytyki artystycznej i historycznej, co wystarczy porównać z poprzednim.

Fresk w kaplicy Św. Anny – (po prawej stronie) przedstawiał przybycie Maryi Panny zaraz po Zwiastowaniu, do swej Matki Św. Anny. Już tylko różnica wieku musiała być min. 20 lat i fresk przedstawiał ten moment, zgodny z wiekiem osób i historią stroi jakie w tym czasie były noszone. Fresk został zamalowany.



Cztery portrety.

W kaplicy tej (po prawej) jest wejście do podziemi gdzie spoczywa hr. F.A. Łoś oraz inni członkowie jego rodziny, w murze są 4 marmurowe tablice z informacją kto tam spoczywa, a obok wisały 4 portrety (obrazy olejne), które z niewyjaśnionych przyczyn zostały przeniesione na plebanię. Gdy zmarł ks. Łazarowicz, jeszcze tego samego dnia zostały wywiezione do Zamościa, mówił mi o tym Edward Jakubiszyn z Narola. Uważam, że powinny wrócić na swoje dawne miejsce – wszystkie. Obrazy były ofiarowane do kościoła w Narolu, tam powieszone, poświęcone i tam jest ich miejsce.



Jest niedopuszczalne, że jeden ksiądz przyjmuje jakikolwiek DAR do Kościoła, ale następny lub kolejny nie szanuje tego aktu i traktuje ten dar jak prywatną rzecz. Moim zdaniem, może to skutkować zaprzestaniem składania darów... - czyli wzbogacania świątyń.

Jan Zuchowski

Od morwy do jedwabiu

Trudno dzisiaj spotkać drzewa morwowe, których słodkie białe, czerwone lub czarne owoce były naszym dziecięcym smakołykiem. Mój ojciec opowiadał mi że gdy miał ok. 12 lat (1925 r.) to była taka aleja morwowa przy drodze przez miejscowość „Czereśnie” w majątku ziemskim Dydyńskiego (zarządca Rupp). Cieszanowskie dzieci na te morwy chodziły ukradkiem z Cieszanowa. Były przepędzane przez właściciela - zarządcę, bo koło drzew były zadeptywane uprawy zbożowe. Tamte morwy odnotował Edward Dziadula w książce „Słodkie Czereśnie” (str. 12) słowami: „Ze wspomnień żyjących dzieci osadników z 1930 r. (...) wynika, że droga wówczas polna prowadząca od gościńca (...) na zachód do lasu Karczunek obsadzona była czereśniami i morwami. Przy tej drodze zbudowano większość zagrod i dlatego powstała kolonia nazwana Czereśniami.” Jak widać o mały włos a równie dobrze dzisiejsze „Czereśnie” mogły się nazywać „Morwy”.

Autor wyjaśnia, że „Morwa rośnie bardzo powoli, jest drzewem długowiecznym. W 1930 r. zastano kilka bardzo starych i grubych drzew morwy. Rosły na polu Józefa Puka a jedna najgrubsza obok domu Borysowiczów. Jest to dowód na odległy czas zlokalizowania folwarku na tym terenie.” Prawdą jest że drzewa morwy białej mogą osiągać 15 m wysokość i w sprzyjających warunkach żyć nawet 200-300 lat. W tamtym czasie w ramach modnego wówczas zadrzewiania poboczy, również przy drodze z Cieszanowa do Czereśni ówczesni drogowcy zasadzili po obu stronach po kilka morwowych drzew. Do dziś nie zachowały się.

Również w naszym ogrodzie („na przyłogu”) w Lubaczowie mieliśmy suto owocujące dwa drzewa morwowe oraz przerośnięte krzewy morwowe od strony drożki nad rzekę (jako morwowy żywopłot). Cztery duże morwy rosły na między naszego pola za koszarami. Były przyczyną moich tam wypraw w latach 60-tych z bańką aby się najęść ale i narwać do domu. Mnóstwo tych owoców leżało pod drzewem w trawie, te były najśłodsze bo dojrzały aż same spadły, ale podejmowanie z ziemi - to zajęcie dla dziewczyn. Miarą chłopców było wspiąć się na drzewo i zdobyć owoce samemu. Dzisiaj prawie nie spotyka się drzew morwowych. Niemal ostatnie rosły po drugiej stronie budynku stacji, przy kolejowym płocie i za starym szpitalem w stronę mostu. Nasadzenia większości tych morw mogły sięgać nawet początków XIX wieku. W latach 50-tych rozwinęła się w Lubaczowie hodowla jedwabników, których kokony służyły do przemysłowego przetwórstwa. Dla przypomnienia - jedwab naturalny w przeciwieństwie do sztucznego jest pochodzenia zwierzęcego, a jego „producentami” (z nitki jedwabniczej przędzy) są gąsienice motyla jedwabnika morwowego z grupy prądkówek. Odkryto je w Chinach. Zanim się przepoczwarza snują naokoło siebie oprzęd - kokon z cieniutkich, silnych włókien powstałych z płynnej substancji z gruczołów przednich. Gąsienice te karmiły się właśnie morwowymi liśćmi.

W Lubaczowie hodowlę tą prowadziło dużo osób, również moi rodzice. Robił to też np. lekarz weterynarii Włodzimierz Żdan, i o dziwo (co dzisiaj nie byłoby możliwe) - w wolnym pomieszczeniu ówczesnej lecznicy weterynaryjnej w uliczce bocznej do ul. Mickiewicza. Przy lecznicy rosły krzewy morwy, tych jednak nie starczało i bywało że przychodził na nasze. Pana Żdana zapamiętałem jako dziecko także z tego, że gdziekolwiek by go nie spotkać, zawsze dla dzieci odnajdywał w swoich kieszeniach cukierka.

Hodowlę (pierwsza partia jajeczek i gąsienic) rozpoczynało się w połowie maja. Drugi rzut w trzy tygodnie później, gdy pierwszy był w IV okresie rozwoju, a trzeci w tyleż samo po drugim, i gdy pierwszy rzut był ukończony a gąsienice drugiego były w IV okresie. W ten sposób w ciągu trzech miesięcy były trzy rzuty hodowli.

Punkt zaopatrzenia w jajeczka jedwabnika i skupu kokonów mieścił się w Jarosławiu. Jajeczka (jak ziarenka maku) pochodziły z Państwowego Doświadczalnego Zakładu Jedwabniczego w Krakowie lub z Państw. Instytutu Jedwabniczego w Milanówku. Przed każdym sezonem hodowlanym przyjeżdżał z Jarosławia instruktor z propozycją aby kupić kilka gramów jajeczek do hodowli (takim rejonowym instruktorem pszczelarstwa

i jedwabnictwa był m.in. Czesław Komosiński z Cieszanowa). W hodowli należało mierzyć siły na zamiary. Ważna była dostępność morwowych liści: ogólna ich ilość potrzebna do wykarmienia gąsienic wylęgłych z 1 g jajeczek (1000-1500 gąsienic) wynosiła w czasie całej hodowli ok. 30-45 kg. W pierwszej fazie hodowli podawano liście krajane, potem całe a potem razem z gałązkami. Hodowla wymagała ciepłego pomieszczenia z półkami z desek. Na nich układano warstwy arkuszy papieru pakowego. Np. dla hodowli z 10 g jajeczek potrzebna było pięciu czteropółkowych wysokich na 2 m etażerek, ok. 70 m² papieru na podściółkę oraz 100 m² na zdejmiki.

Rodzice przeznaczali na ten cel tylne pomieszczenie domu. Na regałach, na papierach rozsypywano jajeczka jedwabnika. Czas i ciepło powodowały wylęganie się i rozwój gąsieniczek i masowe żeranie przez nich liści morwy. Na ten ich stan kładziono tzw. zdejmiki, tj. podziurkowane arkusze papieru pakunkowego. Na nich rozkładano nowy zapas morwowych liści. Gąsienice po zjedzeniu liści poprzednich, przedostawały się przez otwory zdejmików wyżej do

nowego zasobu liści. Tym sposobem opuszczały zanieczyszczone legowiska i zamieniały na nowe. Cykl ten powtarzano. Takie zdejmiki wykonywano samemu, wybijając w pliku papierów stalowymi wybijakami otwory o średnicy od 3 mm (zdejmik nr 1) do 17 mm (nr 4). Liście układano planowo, szeregami i warstwami podobnie jak dachówkę na dachu, każdy liść spodnią stroną do góry. Po 4-5 tygodniach dorosłe gąsienice przez z ok. trzy dni oprzędzały się w białe-żółte kokony wielkości połowy kciuka, w których przeobrażały się w poczwarki.

Sprzedaży podlegały te właśnie jedwabnicze kokony. W zależności od rasy jedwabnika, kokony mogły być duże (ok. 400 szt./kg w stanie żywym) lub małe (ok. 800/kg). Dziewiątego dnia od rozpoczęcia oprzędzania się, zdejmowano kokony z oprzędników i sortowano. Kokony w zależności od preferencji i umiejętności hodowcy można było sprzedawać jako żywe lub zamrożone. W przypadku zamorzonych i wysuszonych (lżejsze) cena była 3 krotnie wyższa. Zamrożenie kokonów (zabicie poczwarki gorącą parą) musiało nastąpić przed upływem dwóch tygodni od chwili oprzędzenia, tak aby nie zdążył się wykuć motyl. Sprzedaż kokonów odbywała się w placówce skupu w Jarosławiu, i co ciekawe - nie na ilość ani nie na wagę ale objętościowo - na odpowiednie miarowe garnce. Przy tym punkcie skupu istniał sklep dający prawo do nabycia po niższej cenie gotowych materiałów (np. koszulowego) niedostępnych wówczas w mało rozbudowanej sieci handlu uspołecznionego.

Co z tymi kokonami działo się dalej... Otóż, cała długość nieprzerwanej nitki oprzędu z jednego kokonu sięgała od 2-3,5 km z czego zaledwie 0,5-1 km dawało się rozsunąć maszynowo, reszta to odpad. W przemysłowym procesie kokony były zmiękczane, szczotkowane, odwijane (rozmontowania), następowało skręcanie nitki i szpulowanie. Otrzymywano różne rodzaje jedwabnej przędzy: greża, organzyna, grenadyna, trama, krepa, a także jedwabne nici do haftu, kordonki i nici do szycia. Produkowane potem z przędzy tkaniny jedwabne to tkaniny wyrabiane na warsztatach tkackich, złożone z osnovy przeplatanej wielokrotnie nitkami wątku.

Wówczas byłem dzieckiem, które co nieco zapamiętało, resztę poznałem z rozmów z rodzicami i z własnego pogłębiania wiedzy. Choć moja opinia o jedwabnikach nie jest może zbyt apetyczna (w końcu mówimy o gąsienicach), to jednak hasło „jedwab”, „jedwabisty” - przynosi pewne odczucie delikatności. Cieszę się że mogę przypomnieć ten rodzaj wcale nie odosobnionej aktywności lubaczowskiej społeczności, gospodarczej zaradności naszych rodziców i dziadków. Może niniejszy artykuł o morwach i jedwabnikach przypomni komuś, że i w jego domu była taka hodowla, albo że przynajmniej morwy jadł i zna ich smak? W późniejszych latach jedwabniki zostały zastąpione w powiecie lubaczowskim bardziej dochodowymi plantacjami lnu, konopi, buraków cukrowych, rzepaku, a nawet tytoniu i wikliny.

Tak - nie chce się wierzyć, że był czas gdy były uprawiane wszystkie pola, koszone wszystkie łąki, były prawdziwe koksy i szare renety, i były morwy...

Adam Szajowski



Edukacja w lubaczowskim liceum

Jesienią 1961 roku, po zdaniu obowiązujących wówczas egzaminów wstępnych z języka polskiego i matematyki, rozpoczęłam naukę w lubaczowskim Liceum Ogólnokształcącym.

Uczęszczałam do klasy VIII d. Była to klasa żeńska. Trafiło do niej również kilka moich koleżanek z podstawówki. Razem ze mną chodziły: Asia Cioch, Lutka Dec – z którą siedziałam w jednej ławce przez całe liceum, Madzia Foryt, Ela Hadel, Basia Markowicz, Zosia Pliś i Renia Zagrodzka oraz Bronia Sawkiewicz i Lucyna Filipiak, które chodziły do równoległej klasy w szkole męskiej, oddelegowane w piątej klasie z naszej szkoły, w ramach tzw. eksperymentu koedukacyjnego. Podczas nauki w Liceum doszły do nas jeszcze kolejne lubaczowianki: Danusia Broż i Krysia Karos.

Pozostałe dziewczęta pochodziły z różnych miejscowości powiatu lubaczowskiego, położonych bliżej lub dalej od miasta. Niektóre z nich, jak Stefcia Daż, mieszkaly w internacie. Parę na stancjach, zwłaszcza zimą (m.in. Jola Mach, Józia Greń, Ewa Stankiewicz, Hela Pietruszka, Iska(Maria) Iwanekko, czy Ala Szal), a pozostałe dojeżdżały pociągami lub autobusem, albo dochodziły codziennie do szkoły pieszo.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki przeżyliśmy okropną tragedię, kiedy to jedna z naszych nowych koleżanek Czesia Terech, podczas pożaru domu sąsiadów, słysząc lament przerażonej matki, że w płonących pomieszczeniach zostało jej małe dziecko, bez namysłu skoczyła w ogień, aby je ratować. Niestety chwilę po tym zawalił się dach i nieszczęsną dziewczyną zginęła w płomieniach. Jak na ironię jej bohaterska śmierć okazała się zupełnie niepotrzebna, bo okazało się, że dziecko już wcześniej zostało wyniesione z pożaru. To wydarzenie bardzo zbliżyło nas do siebie. Szybko znalazłyśmy z nowymi koleżankami wspólny język i w krótkim czasie stałyśmy się zgraną, „babską” klasą.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych istniało w Lubaczowie pięć drużyn harcerskich: trzy żeńskie i dwie męskie, oraz żeńska drużyna zuchowa. Komendantem Hufca był Zdzisław Daraż, późniejszy Komendant Chorągwi Rzeszowskiej.

Moją przygodę z harcerstwem rozpoczęłam od wstąpienia w roku 1958 do tworzonej przez naszą szkołę pierwszej drużyny zuchowej. Naszą drużynę „Słonecznych Promyków” prowadziła młoda nauczycielka z naszej szkoły – pani Irena Misztalowa, a przyboczną, którą bardzo polubiłam, była uczennica liceum Celina Sieradzka.

Z uczestnictwa w życiu harcerskim wyniosłam wiele wspaniałych wspomnień: z biegu na ochotniczkę, licznych podchodów, biwaków i ognisk, podczas których starsi druhowie popisywali się różnymi zabawnymi skeczami. Prym wodzili tu: bracia Burkowie – Wacek i Janusz, Staszek Czuryło, Staszek Kropiowski oraz kuzyni Adam i Zdzisław Kubrakowie.

W czasie organizowanych wówczas ognisk i różnych wieczornic swoim śpiewem wyróżniały się zwłaszcza dziewczęta z drużyny „Czerwone Maki”, działającej przy lubaczowskim liceum. Wiele piosenek wykonywały na dwa głosy. Zapamiętałam zwłaszcza Janinę Broż i Danutę Hamulkę – moją późniejszą profesorkę j. niemieckiego, które swym wspaniałym głosem wiodły prym, podczas wspólnych śpiewów.

Do śpiewanych podczas tych spotkań piosenek, nie tylko zresztą harcerskich, ale i również wielu patriotycznych, akompaniowali nam – grając na gitarze – Bernadeta Wójcik i Szczepan Wesołowski.

Podczas zim, które były wtedy zazwyczaj niezmiernie śnieżne, organi-

zowano co roku tradycyjnie kuligi. Co roku odbywały się też tradycyjne zabawy noworoczne. Czasami były to bale przebierańców. Natomiast podczas wakacji i ferii organizowano często w lubaczowskiej harcówce potańcówki przy muzyce z płyt przynoszonych przez starszych druhów. Byłam zapaloną harcerką i przez lata uczestniczyłam aktywnie w życiu drużyny.

W X klasie byłam członkiem Drużyny Sanitarnej, do której należały dziewczęta z liceum, a po ukończeniu szkoły pracowałam przez rok w hufcu, jako instruktor młodzieży starszej. Komendantem hufca była wówczas Stefania Trytek, a jej zastępczynią i opiekunką drużyn zuchowych pani Henryka Krzych.

Z zajęć dodatkowych, oprócz harcerstwa, funkcjonował wówczas przy LO Szkolny Klub Sportowy. Zajęcia z dziewczętami

w sekcji siatkówki i gimnastyki artystycznej prowadziła prof. Helena Wennyk, a chłopcy pod opieką prof. Edmunda Gilarskiego trenowali w sekcjach: kulturystyki, siatkówki i piłki nożnej.

Mieliśmy też możliwość uczestniczenia w koncertach symfonicznych Rzeszowskiej Filharmonii, które organizowane były dla nas, w ramach tzw. „umuzycznienia” w Miejskim Domu Kultury.

Młodzież licealna mogła też uczęszczać na zajęcia z szermierki, prowadzone od lat pięćdziesiątych przez pana Zenona Pomorskiego – prezesa lubaczowskiego oddziału tej dyscypliny sportu, z której wywodziło się wielu szpadzistów, florecistów i szablistów, tak dziewcząt, jak i chłopców, mogących

pochwalić się sukcesami o zasięgu nie tylko regionalnym, a także ogólnopolskim. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych na treningi sekcji szpadzistów uczęszczał również mój najmłodszy brat Czesław.

Zawodnicy tej sekcji, wraz ze swymi sympatykami, tworzyli bardzo zgraną „paczkę”, która oprócz treningów wspólnie chodziła do kina, organizowała potańcówki, gdzie królował rock and roll, a kiedy na początku lat sześćdziesiątych zapanowała moda na hula-hop, spotykali się, aby godzinami doskonalić swe umiejętności kręcenia obręczą, bijąc kolejne rekordy.

O ile dobrze pamiętam do grona tego należeli: Jan i Małgorzata Diaczyszynowie, Teresa Szpyt i Marian Meder, kuzynostwo Wacek i Alicja Jarosławcowie, Janusz Kostecki, Anna Rajzinger i Kazimierz Sikora, Krystyna Świdarska i Wojciech Okrojek, Andrzej Żdan, Janina Hrynek, Iwona Czajkowska, Ludwik Szpyt, Andrzej Jabłoński, Władysława Gorczyca, Irena Luczyszyn, Janina Broż, Lucyna Szabatowska i wielu, wielu innych.

W latach sześćdziesiątych powstał przy lubaczowskim liceum harcerski zespół wokalny „Siódemka”, prowadzony przez świeżo upieczoną germanistkę, panią prof. Danutę Hamulkę, znaną nam wcześniej z harcerstwa drużynę Danusię. Nowo powstały zespół tworzyły: Mysza(Krystyna) i Marta Kosiorówny, Gośka Pióro, Jadzia Dobrowolska, Marysia Szałańska, Dadka(Danuta) Czeterbok i Dzikka(Zdzisława) Korejba. Na fortepianie akompaniowała im Halina Butyńska.

Skład zespołu w kolejnych latach zmieniał się. Pamiętam, że śpiewały w nim później Halina i Jadzia Kwiatkowskie, Marysia Wesołowska, Jadzia Szałańska, Ewa Gutowska, Halina Wiśniewska, Jagoda Niemiec.

Młodzież uczestniczyła też w amatorskim zespole teatralnym. W latach sześćdziesiątych kierowała nim bibliotekarka, pani Czesława Monasterska, która przygotowywała też programy kabaretowe, oparte na tekstach Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z teatryku „Zielona Gęś”.

cd. ze str. 7

Edukacja w lubaczowskim liceum

W występach kabaretowych brał udział, między innymi, mój starszy brat Marek, Janina i Ziemek (Ziemowit) Rokoszowie, Tadek Skulimowski, Władysław Gorczyca, Wojciech Miśków i Staszek Kropiowski.

Pamiętam też program, przygotowany w tamtych latach z okazji Dnia Nauczyciela przez panią profesor Alinę Ciemięgę, wystawiony na scenie MDK. Był to montaż poetycki fragmentów różnych utworów Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego. Występowali w nim między innymi: Tadeusz Turek, Małgorzata Pióro, Myszk (Krystyna) Kosior, Zdzisław Zagórski, Dadka (Danuta) Czeterbok i mój brat Marek.

W ostatniej klasie liceum zostałam zaproszona przez panią Czesławę, czym oczywiście poczułam się niezmiernie wyróżniona, do uczestniczenia w reżyserowanej przez nią sztuce „Moralność Pani Dulskiej” – autorstwa Gabrieli Zapolskiej.

Próbowaliśmy tę sztukę w składzie: pani Dulski – Czesława Monasterska, pan Dulski – Walerian Sołga, Zbyszko – Ziemek (Ziemowit) Rokosz, Hesja – moja skromna osoba, Mela – moja koleżanka szkolna Lutka Dec, pani Juliasiewiczowa – Teresa Niedziela, Hanka – Jasia Broż, Tadrachowa – Władysława Kiśniewska.

Niestety, nie dane mi było wystąpić na scenie w roli Hesi. Musiałam z tego zrezygnować, aby przygotować się do egzaminów wstępnych na wydział metalurgii krakowskiej AGH, uczestnicząc w kursie przygotowawczym zorganizowanym przez tę uczelnię. Sztukę wystawiono rok później, w nieco zmienionej obsadzie, a mnie pozostały jedynie w pamięci, coraz bardziej kurczące się – wraz z upływającym czasem – fragmenty mojej roli.

Marta Gdula-Żukowicz

LISTY

Ma rację autor artykułu „Powiat stać na więcej” że samorządy najchętniej inwestują w budowy boisk, dróg. Łatwiej na taki cel uzyskać środki a z wykonawcą nie ma problemu. Natomiast efekty dla wszystkich są widoczne. Oczywiście te inwestycje są potrzebne ale niestety nie przysparzają one miejsc pracy. Natomiast jak powietrza na naszym terenie niezbędne są zakłady dające zatrudnienie. Gdy jako bezrobotny zgłaszam się w Urzędzie za jakąś pracę słyszę aby brać sprawy w swoje ręce i zakładać jakąś firmę. Ale jaką tu firmę w Lubaczowie można założyć aby miała realny sukces? Prawda jest taka, że jeśli firma to nie sklep, hurtownia bo tych jest już stanowczo za dużo. Zakładów naprawczych też nie brakuje. Szansą mógłby być jakiś mały zakład produkcyjny ale tu z kolei niezbędne są znaczne środki i koło się zamyka. Pozostaje ucieczka w świat. Prawdą jest, że to samorządy bardziej aktywnie powinny się zabrać za przyciągnięcie jakiegoś inwestora.

Stanisław K. Lubaczów

To prawda zauważam jakąś przepaść między władzą a samorządem. Zawsze władza podkreśla, że wie najlepiej i nie zachodzi potrzeba konsultowania co na dany temat sądzi społeczeństwo. Poza tym można usłyszeć od tego są przecież radni. Już trzeci rok jako magister pętam się po Lubaczowie co najwyżej podejmując się dorywczych prac. Absolutnie nikt takimi jak ja się nie interesuje. Nie przypominam sobie narady spotkania, na którym zajęto by się bezrobotnymi absolwentami wyższych uczelni. Mam za sobą pięć lat intensywnych studiów i to na renomowanej uczelni. Mógłbym w jakiś sposób być wykorzystany. Tymczasem władze, jak się zorientowałam, mają tylko mglistą orientację o takich jak ja. Nie bardzo wiedzą, albo nie chcą wiedzieć ilu absolwentów wyższych uczelni jest bez pracy, co robią jakie jest ich samopoczucie. Mógłby powstać jakiś klub wymiany myśli. Bez kosztów w jakimś sensie moglibyśmy być potrzebni. Może coś sensownego potrafilibyśmy odpowiedzieć władzy.

Stefan L. Lubaczów

Co ludzie powiedzą?

W Lubaczowie Adolf uchodzi za osobę powszechnie znaną. Jest atrakcyjnym mężczyzną. Chociaż dobiega czterdziestki kobiety się za nim wciąż oglądają. Wie o tym i dba o swój wygląd. Zawsze elegancki pod krawatem w starannie wyprasowanej koszuli. I ten jak niektórzy nazywają „szelmowski uśmiech na jego twarzy”. Zawsze pewny siebie, otoczenie traktuje z dystansem. Po prostu narcyz, rozkochany w sobie.

Od wielu lat z powodzeniem prowadzi mały biznes. To prawda nie można mu odmówić życiowego sprytu. Mówią o nim, że zawsze „spada na cztery łapy”. Nic dziwnego, że ożenił się z dziewczyną z domem. Jej rodzice nie kryli satysfakcji z zięcia. Zaradny, kulturalny, dobry mąż i ojciec. Jakże się nim nie chwalić! Tym bardziej, że potrafił się znaleźć w towarzystwie. Eloquentny z poczuciem humoru, bawi gości. I może dlatego Agata chętnie się z nim pokazywała publicznie. Stąd wspólne spacer, zakupy, wycieczki.

Adolf z racji prowadzenia firmy miewa częste wyjazdy. Bywało też tak, że nie wracał na noc bo obowiązki zastały go w Lublinie, Rzeszowie czy w Warszawie. Niespodziewanie do Agaty zaczęły dochodzić słuchy, że w życiu męża pojawiły się kobiety! Żona długo tym wieściom nie dawała wiary. Wobec niej był bowiem czuły i ciągle zasypywał ją prezencikami. Ale fakty o zdradzie były przytłaczające. Z tego powodu zrobiła mu karczemną awanturę. Ale niestety on też nie pozostał dłużny. Po raz pierwszy pokazał na co go stać. Rzucił pod adresem żony wiązaną wyzwick i na kilka dni wyniósł się z domu. Na kilka dni ponieważ wrócił ponaglany telefonami Agaty.

Od tego wydarzenia w ich małżeństwie coś pękło. Awantury wybuchały coraz częściej. Dochodziło też do rękoczynów. Koleżanka w pracy zauważyła siniak na jej twarzy. Agata wytłumaczyła się, że niefortunnie upadła. Można było zauważyć, że zakupy robi sama. Coraz rzadziej też widywano już ich razem na spacerach. Jednakże koleżankom i kolegom w pracy uparcie tłumaczyła, że mąż ma wyjazdy w interesach i jest gościem w domu. Wiadomo konkurencja na rynku zmusza go do ciągłej aktywności.

Jednego dnia jednak nie wytrzymała i zwierzyła się koleżance, że jej życie zamieniło się w piekło. – Mąż się awanturuje, staje się agresywny i mnie bije. Cierpią dzieci które to wszystko widzą!

- Wywal go czym prędzej z domu. To on przyszedł do was na gotowe. Ani godziny takiego drania bym w swoim domu nie trzymała! – poradziła koleżanka.

Miarka się przebrała i po kolejnej awanturze przypomniała mężowi, że jest w jej domu i jak się nie uspokoi to będzie musiał go opuścić. Ku jej zaskoczeniu Adolf ujął się ambicją, spakował swoje rzeczy, garnitury, koszule, buty. To wszystko wyniósł do samochodu i odjechał. Wszystko to stało się tak nagle, że Agata nie miała czasu ochłonać. Wkrótce wielkie uczucie ulgi zaczęło się zamieniać w dolegliwość a nawet przerażenie. Uświadomiła sobie że traci męża, osobę z której była dumna. Wsparcie znalazła u koleżanek z pracy, które były pełne uznania dla niej za ten czyn. - Wreszcie będziesz żyć jak człowiek bez strachu, bez poniżania. – usłyszała.

Życie jej jednak znowu zamieniło się w piekło! Idąc ulicą czuła na sobie pełne satysfakcji spojrzenia znajomych oraz docinki, komentarze: - Czy to prawda, że od pani mąż odszedł? Widzę, że smutno pani samej! I te wieczory bez męża! Równocześnie zaczęto rozsiewać plotki, że to jej wina ponieważ była piekielnie o męża zazdrosna! Wiadomo mąż nie próżnował, rozpowiadając takie wieści, usprawiedliwiał swoje odejście.

Jednego dnia nie zniósła presji otoczenia i zadzwoniła do Adolfa aby wracał. Oczywiście skorzystał z zaproszenia i pojawił się jako zwycięzca. Agata odetchnęła z ulgą. - Pyski ludziom wreszcie się pozamykają - powiedziała koleżankom, które nie kryły swej dezaprobaty dla decyzji Agaty. Gdy mimo wszystko przekonywały ją, że źle postąpiła z rezygnacją w głosie dodała: - Jak długo można było znosić myśl, że się jest na ludzkich językach? Zapraszając męża do domu daje kres plotkom. No cóż często w małych miejscowościach presja otoczenia bywa bardziej dotkliwa niż piekło w domu.

Marian Ważny
Imiona osób zostały zmienione.

Pożegnanie Profesora – wnuka honorowego obywatela Lubaczowa

23 stycznia na cmentarzu Rakowickim w Krakowie pożegnano emerytowanego profesora Politechniki Krakowskiej Jerzego Ludwika Kapkę. Literatura żałobna nie jest najlepszą tematyką na początek roku – Profesora jednak warto wspomnieć, gdyż był mocno związany z Lubaczowem.

Choć jego zawodowa świetność przypadła na czasy całkiem współczesne, nosił w sobie istny legat XIX-wiecznej kresowej galicyjskości: jeden dziadek był Rusinem, drugi – nosił niepolskie nazwisko Trexler de Orsola (Ludwik, austriacki pułkownik, który całą I wojnę światową przeżył na froncie, polski generał brygady, zmarły w Przemyślu w 1935 r. w wieku lat 74). Mieszanka na owe czasy całkiem oczywista, dziś jakby mniej...

Jerzy Ludwik Kapko urodził się 20 listopada 1921 r. w Wadowicach, wychował w Bielsku, lata II wojny spędził (z wyjątkiem dwóch pierwszych miesięcy okupacji, które przeżył we Lwowie) w Krakowie – gdzie uczył się w chemicznej szkole przemysłowej, a następnie pracował w farmaceutycznej fabryce dr A. Wander. Po wojnie skończył (w 1947 r.) studia chemiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i zajął się pracą naukową, zwieńczoną uzyskaniem doktoratu (1950 r.) i habilitacji (1959). Jego kariera związana była z Akademią Ekonomiczną (pracował w Katedrze Towaroznawstwa, po czym przez niedługi czas zatrudniony był w... spółdzielni „Pokój”), Instytutem Obróbki Metali, a przede wszystkim z Politechniką Krakowską. Był tam m.in. kierownikiem Zakładu Tworzyw Sztucznych przy Katedrze Budownictwa Żelbetowego, adiunktem w Katedrze Chemii Organicznej Wydziału Chemicznego, kierownikiem Zakładu Polimerów na Wydziale Inżynierii i Technologii Chemicznej, przez 14 lat – od 1974 do 1988 – zajmował stanowisko dyrektora Instytutu Chemii i Technologii Organicznej. W kadencji 1971-73 piastował godność prodziekana Wydziału Chemicznego. Miał tytuł profesora nadzwyczajnego (1983), był kawalerem Orderu Odrodzenia Polski V klasy, Złotego Krzyża Zasługi, nauczycielskiego Medalu Komisji Edukacji Narodowej. Od macierzystej uczelni otrzymał Honorową Odznakę Politechniki Krakowskiej im. Tadeusza Kościuszki, a od Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego (prezesał jego krakowskiemu oddziałowi od 1985 do 2002 r.) najwyższe wyróżnienie: Medal im. prof. Wojciecha Świątosławskiego. Przez 30 lat – między 1976 a 2006 rokiem – zasiadał w Radzie Naukowej Zakładu Polimerów (przemianowanego na Centrum Chemii Polimerów w Zabrzu) Polskiej Akademii Nauk, był ponadto członkiem Rady Naukowej Instytutu Tworzyw i Farb w Gliwicach, Instytutu Towaroznawstwa AE w Krakowie, Komitetu Nauk Chemicznych PAN, konsultantem American Biographical Institute. Przez wiele lat prowadził także wykłady na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Pomimo dostojnego wieku, był czynny do ostatnich dni – uczestniczył w spotkaniach naukowych, wygłaszał wykłady, żywo interesował się nowościami u dziedzinie, którą uważał nie tylko za zawód, ale przede wszystkim za życiową pasję. Kochał chemię, kochał młodzież, kochał życie: to zgodna opinia wszystkich, którzy go znali. Co ciekawe, jego wielkim hobby było... lotnictwo, zwłaszcza szybownictwo. W latach gimnazjalnych bowiem ukończył kurs szybowniczy (pomyślnie) i spadochroniarski (mniej pomyślnie, bo po zaliczeniu teorii nie udało mu się nabytej wiedzy sprawdzić w praktyce). Do późnych lat z upodobaniem parł się modelarstwem lotniczym.

Związek z Lubaczowem prof. Kapko zawdzięczał dziadkowi po mieczu, Józefowi, obdarowanemu przez „radę królewskiego wolnego miasta Lubaczowa” 31 marca 1905 r. honorowym obywatelstwem miasta, którego burmistrzem wybierany był dwukrotnie. Zaszczyt przypadł mu – jak można było wyczytać w eleganckim dyplomie, przechowywanym przez

wnuka – nie tylko za „nieskazitelność charakteru i niezłomność przekonań przy niezwyklej łagodności i wyrozumiałości”, „wzniosłą szlachetność wobec moralnie uciśnionych”, nie tylko dlatego iż był „w każdej chwili i potrzebie orędownikiem, opiekunem i pośrednikiem”, ale i w dowód uznania konkretnych osiągnięć: przy jego „skutecznej pomocy odbudowano miasto kilkakrotnie pożarami doszczętnie zniszczone”, dzięki jego „niezmordowanym zabiegom udało się uzyskać u Rządu znaczną bezzwrotną zapomogę, a u kraju bezprocentową pożyczkę”, co pomogło „biedniejszym mieszkańcom do odbudowania zniszczonych przez pożar budynków z ogniotrwałego materiału” i – tu już cytat będzie bezpośredni – za to, że „upiększyłeś samo miasto, podniósłeś jego zdrowotność budując chodniki i rynsztoki po wszystkich ulicach jako też kanały naokoło rynku”.



Prof. Jerzy Ludwik Kapko podczas wykładu. Fot. archiwum

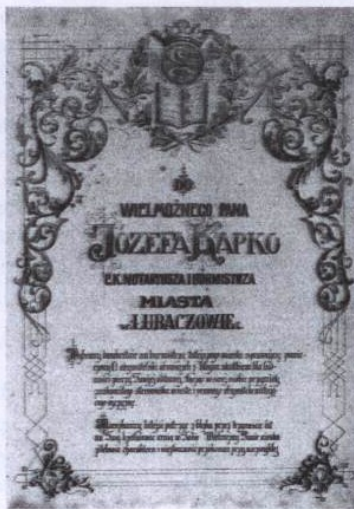
Józef Kapko burmistrzował w Lubaczowie przez 13 lat. Urodzony w 1847 r. najprawdopodobniej w Niemirowie, zmarły w 1924 w Kołomyi, był z zawodu notariuszem – tę profesję uprawiał podczas pobytu w mieście nad Sołotwią, notariat prowadził również w Kołomyi, do której przeniósł się z Lubaczowa. Zaliczał się do grekokatolików – co jednak ciekawe, w przypadku swoich dzieci zarządził niezgodnie z tradycją, każąc w mieszanych rodzinach dziedziczyć synom wyznanie po ojcu, córkom po matce: syna Izzydora (późniejszego dyrektora banku w Bielsku i ojca profesora Jerzego) ochrzcił w kościele, córkę Marię w cerkwi. Ta ostatnia, zamieszkała po wojnie w Kanadzie, do śmierci uważała się za Ukrainkę.

Prof. dr hab. Jerzy Kapko znał Lubaczów i zachowywał dlań sentyment: w końcu miasto to jakże pięknie uhonorowało jego dziadka. Wiedziony tym sentymentem, przed dziewięcioma laty zaproponował mi opisanie potwierdzającego honorowe obywatelstwo dziadka dyplomu, który pieczętował się przechowywał – był bowiem ciekawy, czy współcześni lubaczowianie o tym fakcie wiedzą. Co też i w „Kresowianku” w 2004 r. uczyniłem.

A teraz na tych samych łamach muszę Go pożegnać. Związanego z Lubaczowem niebezpośrednio wprawdzie, ale przecież nader godnie: przez dziadka, wielce zasłużonego dla stolicy powiatu. Ale też i na to sam zasłużył, bo Lubaczowszczyźnie wstydu nie przyniósł: współpracownicy oraz wychowankowie z Politechniki Krakowskiej pożegnali go ładnymi słowami – „Odszedł od nas wielki uczony, pasjonat chemii, eksperymentator, który jak mało kto potrafił łączyć badania naukowe z ich konkretnym zastosowaniem, przy tym wspinały dydaktyk, przyjaciel młodzieży, promotor olbrzymiej liczby prac dyplomowych, wychowawca kadry inżynierskiej pracującej w polskim przemyśle chemicznym na ekspozowanych stanowiskach, promotor znakomitych prac doktorskich, zawsze służący radą młodym, ale nie tylko, pracownikom naukowo-dydaktycznym. Odszedł Profesor, który do ostatnich dni był aktywnym pracownikiem naukowym, który miał plany i wspinał pomysły syntezy nowych produktów chemicznych”.

Profesor Jerzy Ludwik Kapko padł wraz z żoną ofiarą wypadku drogowego 21 grudnia 2012 r. Zmarł w szpitalu następnego dnia. Jak mówili podczas ostatniego pożegnania jego znajomi z Politechniki, z którymi spotkał się tuż przed wypadkiem, aby złożyć życzenia świąteczne i noworoczne, dzielił się z nimi planami i nadziejami, jakie wiązał z 2013 rokiem – także naukowymi. Nie zrealizuje ich już...

Waldemar Bałda
Fot. autor



Dyplom honorowego obywatelstwa Lubaczowa dziadka profesora, Józefa Kapki

Z wojennego września 1939 roku (17- ost.)

Przebaczyć można, zapomnieć nie wolno

Zawsze ciekawiło mnie to „jak rozpoczęła się ta wojna”. Dziecięce pytania: dlaczego Niemcy rozpoczęli wojnę w piątek (1 IX 1939 r.)? Czy zamierzali uporać się przez sobotę i już „na niedzielę mieć spokój”? A wtorki? Co obaj okupanci tak ten wtorek? We wtorek 12 IX 1939 r. wkroczyli do Lubaczowa Niemcy a 26 IX a jakże - również we wtorek wkroczyli do Lubaczowa Sowieci. I jeszcze jedno - 17 września... Czy można zacząć wojnę w dzień świąteczny? Tu Sowieci nie zawiedli i jak przystało na komunistów, napadli na nas - w niedzielę. Pytaniom do rodziców nie było końca. „Jak to się stało? Jak to było? Skąd pierwsza wiadomość, jakie wrażenie, co robili i co myśleli inni, co było w dniu następnym i następnym...”. Teraz sam udzielam sobie odpowiedzi w oparciu o wspomnienia ojca i relacje innych świadków tych wydarzeń oraz literaturę tematu (zestawienie na końcu art.). Stąd te odcinki w „Kresowiaku” opisujące wojenne lubaczowskie 30 dni tylko jednego miesiąca – września 1939 roku.

Podliczanie polskich strat na skutek wojny nie ma końca, nadal ujawniane są nowe fakty a wiele kolejnych czeka na wyjaśnienie. Środowiska zajmujące się tą problematyką jak i pojedynczy badacze podają zbliżone dane. Wg P. Wiczorkiewicza (Kampania 1939 roku, KAW, W-wa 2001) w wojnie przeciw bolszewikom zabitych i zamordowanych zostało 6-7 tys. Polaków a 575 tys. było jeńców (w tym 240-250 tys. z formacji regularnych). Co najmniej 22 tys. jeńców, przede wszystkim oficerów trafiło przez obozy w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku do Katynia, Miednoje, Charkowa i in. miejsc masowego ludobójstwa. To o czym wspominałem, że jeszcze wiele może zostać odkryte nie kazało na siebie długo czekać – ujawniono i 21 września 2012 r. otwarto cmentarz w Bykowni pod Kijowem. To już czwarty z tzw. „Ukraińskiej listy katyńskiej” cmentarz katyński (po Katyniu, Miednoje i Charkowie), gdzie przed oczyma Polski i świata Sowieci starali się ukryć ciała zamordowanych w kazamatach NKWD Ukraińców (zdecydowana większość ofiar) i 3,5 tys. Polaków - oficerów. Rozstrzeliwano, topiono w pobliskim jeziorze. Z Kijowa do Bykowni ciała ofiar przywożono ciężarówkami i specjalnym tramwajem, i zakopywano w lesie. I długie lata wmawiano, że to dzieło Niemców. Dziś wiadomo, że od zawsze i Niemcy i Amerykanie znali prawdę jednakże w imię „dobrych interesów” - milczeli. Wspomina Marian Zathey (senior) [Tekst: „Rzeczpospolita lubaczowska, Szczecin”]... „Sowieci cofnęli [potem] klasy szkolne o 1 rok by dopasować system do ich ruskiej „diesiatiletki”, bo wg nich „ich nauka jest wyższa od naszej” [po Katyniu, Miednoje, Charkowie i Bykowni widać że „wyższa” – przyp. AS.]. Usunięto religię ze szkoły. Były potem wywózki na Sybir. Nas zostawili, bo ojciec jako dobry stolarz był im potrzebny w koszarach.”

Jedyną choć mizerną pociechą tamtych dni był fakt, że połączeni IV rozbiorem najeźdźcy - strony paktu Ribbentrop-Mołotow, potem w 1941 r. skoczyli sobie do gardła.

Opowiadał mi ojciec (ES.), że „Gdy potem Sowieci łaskawie zezwolili na uruchomienie 3 typów szkół: ukraińska, żydowska (jewrejska) i polska, to ówczesny rodzaj sowieckiego inspektoratu szkolnego („Widły Narodnej Oswity”) zorganizował spotkanie z dyrektorami i kadrami tych szkół i byłem tam i ja delegowany jako sekretarz polskiej szkoły. Oczywiście całość miała gloryfikować rosyjski szkolny i państwowy ład i być przestrogą dla nieposłusznych w kierunkach i celach nauczania. Potem był poczęstunek, wznoszono toasty, do których nie wszystkim było „po drodze”, m.in. za Stalina. I wówczas siedzący obok mnie Żyd, przedstawiciel - sekretarz tak jak ja ale jęwejskiej szkoły mając widocznie dość i Niemców i Rosjan, przybliży się i na ucho mówi do mnie: „Niech piją za co chcą. A my - za Roosevelta!” Widać miał do mnie zaufanie, skoro nie bał się takiej wypowiedzi, w sytuacji gdy szpiedzy byli na porządku dziennym. Żydzi bowiem szybko przestali kochać Sowieców. Zawiedli się na sowieckim raju i zmienili swe początkowe zachłyśnięcie się Sowieci, którzy wkraczając odebrali im możliwość kontynuowania prywatnego handlu, głównego ich sposobu zarabkowania. Zniknęła prywatna własność. Żydzi towar schowali, wyprowadzili się ze sklepów, powstawały sklepy ruskie, i tzw. „Kooperatywy”.”

Nasze lubaczowskie spojrzenie na 17 września różni się od spojrzenia Polaków z innych rejonów Polski (choćby z Polski centralnej czy z np. z poznańskiego), którzy ten etap historii poznawali „z gazet” i późniejszych opowiadań. Tu u nas naprawdę spotkały się dwie wojny, ta Niemców z 1 IX i ta Sowieców z 17 IX. Konsekwencje wydarzeń mających miejsce na lubaczowskiej ziemi osobiście dotyczą nas tu żyjących lub stąd pochodzących, i trwają do dzisiaj. Co o tym co tu się działo wiedzieli wtedy i wiedzą z wyczytania dziś „ci” z centralnej i zachodniej Polski?



Ziemie które Armia Czerwona zajęła po 17 IX, po II wojnie w większości znalazły się w granicach ZSRR a po jego rozpadzie stały się częścią niepodległych państw: Litwy, Białorusi i Ukrainy [obok mapka: Jak podzielono Polskę w 1939 r., Rzeczpospolita z 16.09.2009]. Tędy przetoczył się hitlerowski i potem sowiecki walec wojny. Na niektórych obszarach na skutek zmiennych ruchów wojsk i przemarszów wielokrotnie miażdżąc Wschodnią Polskę (również Lubaczowszczyznę). W każdym tutejszym domu i w każdej rodzinie po najeździe sowieckim i sowieckiej okupacji pozostały groby, znane i nieznane mogiły i rany wspomnień. Rozdzielone rodziny, aresztowania, deportacje, egzekucje... Polityka cynicznie nastawiona na wyniszczenie polskich elit.

Pamięć tych okrutnych wydarzeń jest tu przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówić i przypominać trzeba dla przestrogi. Im więcej będzie w nas szacunku do życia innych (do zmagających się i losów aresztowanych, deportowanych i zaginionych, szacunku do śmierci zabitych i bohaterstwa zamordowanych) a także im więcej będzie w nas odwagi do budowania prawdziwych pomników z prawdziwymi na nich napisami, tym większa szansa na spokojne życie dalszych pokoleń. Przebaczyć można. Zapomnieć nie wolno!

Adam Szajowski

16 grudnia

W Starym Siole nieznan sprawca zabił jelenia i dokonał kradzieży poroża.

19 grudnia

W Lubaczowie Bogusław N. w stanie nietrzeźwym wyruszył rowerem na przejażdżkę.

22 grudnia

W Młodowie Piotr S. na szkodę Nadleśnictwa w Lubaczowie dokonał kradzieży 1,46 mp drewna wartości 214 zł.

26 grudnia

W Łukawcu na szkodę Czesława K. z terenu budowy Bartłomiej K. i Szymon R. skradli szlifierkę automatyczną, przewody elektryczne oraz dokonali zniszczeń tynków i instalacji elektrycznej. Straty - 1400 zł.

3 stycznia

W Lubaczowie Mariusz R. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Audi.

W Dąbkowie Jan S. na szkodę Wiesława C. dokonał kradzieży przewodu elektrycznego wartości 400 zł.

5 stycznia

W Starym Dzikowie Tadeusz S. przywłaszczył sobie własności Wioletty O. portfel z dokumentami, gotówką w wysokości 2500 zł oraz tel wartości 4000 zł

W Lubaczowie Tomasz K. z Opaki w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Seat Ibiza W Horyńcu w kwietniu 2012 roku Jakub B. skradł Paulinie H. rower wartości 400 zł.

Funkcjonariusze z Posterunku Policji w Cieszanowie patrolowali kompleks leśny Nowego i Starego Lublińca. W pewnej chwili policjanci zauważyli ciągnik rolniczy z podpiętą przyczepą, która była załadowana sosnowym i jesionowym drewnem. Podjęli decyzję o skontrolowaniu legalności przewożonego ładunku. Okazało się, że kierujący ciągnikiem Ludwik K. mieszkaniec gminy Cieszanów, nie posiada aktualnej asygnaty na przewożone drewno i nie jest w stanie udowodnić policjantom legalności jego pozyskania. Chwilę później mężczyzna przyznał się do winy i wskazał funkcjonariuszom miejsce jego wyrębu. Prowadzone oględziny wykazały, że jest to drewno jesionowe i sosnowe o rozmiarze przeszło jednego metra sześciennego, które zostało wycięte z Leśnictwa Narol.

7 stycznia

Wypadek drogowy na trasie Szczutków – Opaka. Skierowani na miejsce policjanci ustalili, że kierujący oplem Krzysztof B. z Lubaczowa, w niewyjaśnionych okolicznościach stracił panowanie nad pojazdem, zjechał na przeciwny pas ruchu i zderzył się z jadącym z naprzeciwka audi. Siła uderzenia była na tyle duża, że kierujący oplem został zakleszczony w pojeździe i wyszedł z niego dopiero po rozcięciu pojazdu przez strażaków. Całą trójkę uczestników karetki pogotowia odwiezły do szpitala. Jeden z kierowców został poddany badaniu na



trzeźwość z wynikiem 0,00 promila, natomiast od drugiego została pobrana krew do badań na zawartość alkoholu. Pomimo starań lekarzy, pasażerka samochodu audi zmarła.

10 stycznia

W Suche Woli Ireneusz I. z Nowej Grobli na szkodę Nadleśnictwa w Oleszycach dokonał wyrębu i kradzieży drewna wartości 128 zł.

11 stycznia

W Oleszycach nieznan sprawca Krzysztofowi U. skradł 9 butli z gazem technicznym wartości 1350 zł. Również w Oleszycach z mieszkania Iwony A. nieletni Aleksander S. skradł tel. komórkowy Nokia wartości 1509 zł.

12 stycznia

W Lubaczowie Jan C. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Fiat.

14 stycznia

W Żmijowiskach Robert G. nielegalnie posiadał 2 poroża jeleni z czaszkami. Również w Narolu Roman W. posiadał nielegalnie 5 poroży z czaszkami jeleni.

W Lubaczowie nieznan sprawca włamał się do metalowej szafki własności Michała M. i dokonał kradzieży sprzętu radiowo- internetowego wartości 800 zł.

W Chotylubiu nietrzeźwy Krzysztof W. wyruszył na przejażdżkę rowerową.

W Narolu Tomasz K. poprzez podróż samochodem VW Golf naruszył zakaz kierowania pojazdem.

16 stycznia

W Chotylubiu Krzysztof W. a w Lubaczowie Waldemar A. w stanie nietrzeźwym wyruszyli rowerami w podróż.

17 stycznia

W Narolu Marian F. przywłaszczył sobie własności Janusza M. znaleziony telefon komórkowy Samsung wartości 350 zł.

W Lubaczowie Patryk G. przywłaszczył sobie własności Damiana K. telefon komórkowy HTC wartości 800 zł.

18 stycznia

Do funkcjonariuszy Wydziału Kryminalnego lubaczowskiej komendy Policji docierały sygnały o dwóch szesnastolatkach, mieszkańcach Huta Złomy Kamilu M. i Michale C., którzy kolekcjonują niebezpieczne przedmioty, w tym niewybuchy. Policjanci, nie tracąc czasu postanowili sprawdzić te

informacje. Podczas prowadzonych czynności funkcjonariusze ujawnili zapalniki pocisków artyleryjskich z czasów II wojny światowej, łufę karabinu wraz z komorą nabojeową, mechanizmem spustowym oraz zamkiem. Ponadto dysponowali oni XVII-wieczną monetą „tymf” z okresu Króla Jana Kazimierza. Znaleziona moneta stanowi wartość zabytkową i nie była zgłoszona do konserwatora zabytków. Oprócz tego policjanci zabezpieczyli cztery poroża jeleni wraz z czaszkami. Trofea poddane wycenie okazały się wyjątkowymi okazami. Z uwagi na wiek sprawców, akta sprawy zostały przekazane do sądu rodzinnego dla nieletnich, który niebawem podejmie dalsze decyzje.

W Lubaczowie Wawrzyniec K. poprzez rzucanie grudami śniegu uszkodził przednią szybę samochodu Bolesława C.

W Krowicy Samej Stanisław H. na szkodę Nadleśnictwa Lubaczów dokonał wyrębu i kradzieży olchy i brzozy wartości 187 zł.

21 stycznia

W Radrużu w lutym 2012 roku Robert K. na szkodę Stanisława P. dokonał kradzieży maszyn rolniczych wartości 4000 zł.

28 stycznia

W godzinach 5.00 - 13.00 policjanci Ruchu Drogowego Komendy Powiatowej Policji w Lubaczowie prowadzili działania skierowane przeciwko nietrzeźwym użytkownikom dróg. Łącznie 8 policjantów poddało kontroli stanu trzeźwości 191 kierowców. Z policyjnego raportu wynika, że funkcjonariusze ujawnili trzy przypadki kierowania pojazdami mechanicznymi przez kierujących będących w stanie nietrzeźwości. W dwóch przypadkach byli to kierujący samochodami osobowymi oraz kierowca mobilnego dźwigu jezdno, który już w przeszłości odpowiadał przed Sądem za kierowanie pojazdami po spożyciu alkoholu. We wszystkich przypadkach stężenie alkoholu w organizmie było na tyle duże, że sprawy znajdą swój finał w lubaczowskim Sądzie.

Część spraw pozostaje w prowadzeniu. Ich przebieg oraz zakończenie może się różnić od opisywanych powyżej.

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213

Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25, tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Waldemar Balda, Wiesław Kołodziej, Renata Piątek, Adam Szajowski, Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Edward Dziadula, Janina Szajowska, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak, Zofia Makuch, Adam Łazar.

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Zamówienia na prenumeratę można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław,

ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31, www.kolordruk.com.pl

e-mail: kolordruk@onet.pl

Okupacja sowiecko – niemiecka w Woli Wielkiej (II)

Wspomnienia Janiny Kołodziej z domu Głaz i Wawrzyńca, Emilii z domu Mroczyk z Łukawicy

Ruscy zaprowadzili swój podział administracyjny. Obszar był w Rawie, powiat w Horyńcu a gmina w Woli Wielkiej. Jej „głową” został Władysław Prusak. Od wiosny 1940 roku przystąpiono do organizowania kolchozów. Z Horyńca przyjeżdżał sowiecki urzędnik Suwerszenko, który na czas pobytu mieszkał u Prusaka czyli w siedzibie gminy. Był tu telefon i na zmianę dyżurowały tu dwie osoby chłopaki i dziewczyny. W razie potrzeby wołały do telefonu kogo trzeba. Głową kolchozu w Woli Wielkiej był Józef Zubrzycki. Miał on do pomocy 3 brygadzi-
stów.

Wszyscy do kolchozu musieli zdać pole, chudobę narzędzia. Mój tato nie chciał iść do kolchozu. Nasze pole też zabrali więc ja z mamą chodziłam wypracowywać dniówki. Normą było: wysadzić 4 worki kartofli – 1 dniówka, roztrząsnąć ręcznie widłami 15 furmanek gnoju – 1 dniówka, wodzić konia przy obróbce – 1 dniówka. Miałam 15 lat i już była „stachanowką”. Wypracowywałam dziennie po 2 dniówki. Chodziłam też na okopy i kopaliśmy rowy przez Starą Hutę. Za zarobione pieniądze kupiłam sobie jałowieczkę, która później zabrali na kontyngent.

W końcu mój tato chciał się zapisać do kolchozu ale nie chcieli go przyjąć. Na zebraniu kolchożnym najbardziej przeciwny był Motyka – teść Olka Patałucha, który mówił „Głaz to Polak i za Amerykę czarnieje. Za tatem wstawił się Suwerszenko, który powiedział: „Szto było można w grób zakopać” i kazał go przyjąć.

Sowiety budowali bunkry na „Gile” (Wielki Dział) i do każdego domu dali na kwatere po dwóch cywilów. U nas jeden z nich był komsomolcem a drugi jak był sam to opowiadał o biedzie i prześladowaniach przez NKWD w Rosji. Jednego dnia jego relacje przez otwarte okno podsłuchiwał komsomolec i doniósł do NKWD w Łukawicy. Rosjanin został zabrany do aresztu i więzienia. Było śledztwo na które brali tatę na NKWD do Rawy Ruskiej aby wyznał co usłyszał. Gdy tatę zabierali enkawudziści mówili do mnie „Nie płacz doczka my tatę prywieziom”. Odbył się sąd wojskowy we Lwowie i na rozprawę musiał jechać tato z mamą. Jednakże nic złego przeciwko aresztantowi nie zeznawali ale jednak dostał wyrok 8 lat gułagu.

Zachorowałam na tyfus. Rano mieli mnie zabrać do Rawy Ruskiej. Miałam silną gorączkę i pragnienie. Na oknie stała flaszka bimbru, którą po łyżeczku przez całą noc wypilałam. Rano przyjechali doktorzy i już mnie nie zabrali bo wyzdrowiałam.

Donieśli Rusini do NKWD, że tato w 1918 roku w Lubaczowie był na wojnie. Przyjechał NKWD – zista i z tatem zamknęli się w komorze i całą noc przy świeczce trwało śledztwo. Suwerszenko przyszedł i powiedział: „Ciebie Głaz wywiozą na Sybir we wtorek”. Zabiliśmy 15 kur i szkodziliśmy się na drodze, a w niedzielę wybuchła wojna z Niemcami i nas nie wywieźli.

Wojna sowiecko – niemiecka

21 czerwca 1941 roku. Od strony Łukawicy o 4 rano rozległa się strzelanina. Tato mówi, że zaczęła się wojna z Niemcami i pobiegł do gminy gdzie u Prusaka spał Suwerszenko. Stuka w okno „towariszciez ubieжай – wojna z Germańcem!”. Tym samym chciał mu się odplacić, że przyjął go do kolchozu. Rano z Aniłą Szaferin poszłam na nabożeństwo. W pobliżu Łukawicy nad rzeką ktoś zaczął krzyczeć aby podejść do nich. Było tam sowieckie wojsko. Pytają gdzie są Germańcy. Byli ranni w kałasach i boso uciekali w stronę bunkrów. Był wybuch granatu. W Łukawicy w kapliczce przy Krynicy ksiądz Kijas odprawiał mszę. Ludzie po mszy poszli do Kijasówki na komando i zabierali koce, szynle. Dużo było tu pobitych po drodze ruskich żołnierzy.

Niemcy Wolę Wielką obeszlą bokiemi lasami. Na drugi dzień budził nas huk motorów. Poszliśmy popatrzeć, bardzo dużo wojska niemieckiego jechało na Werchratę. Po dwóch tygodniach na „Gile” straszna strzelanina. Wszyscy z Woli Wielkiej uciekli przez „Kurosić” w kierunku Lipska. Na Parelcach w lesie przez trzy dni koczowali wszyscy z Woli. Tato wysłał mnie do domu aby zobaczyć co z pozostawionym całym dobytkiem. Nakarmiłam świnię, krowy i cielęta. Patrzę w okno a tu Niemcy idą drogą. Wysłałam koło figury, a tu Niemcy gonią od strony Łukawicy w kierunku Werchraty ze 30 czarnych, osmalonych ruskich.

Spisał syn Wiesław Kołodziej

ROMANS Z CIESZANOWIANKĄ

Sanatorium w Iwoniczu Zdroju. Moim współlokatorem w pokoju był kuracjusz z Lublina. Przypadliśmy sobie do gustu już od pierwszego dnia. Nasza przyjaźń jeszcze bardziej się zacieśniła gdy powiedziałem mu, że moim rodzinnym miastem jest Cieszanów. – Muszę się panu zwierzyć ze smutnej dla mnie historii związanej z tym miasteczkiem – powiedział nieoczekiwanie w czasie spaceru. A w wieczór długo w noc emocjonalnie ciągnął swoją opowieść: – Przejeżdżając kilka lat temu samochodem przez Cieszanów zatrzymany zostałem przez kobietę która czekała na okazję do Lubaczowa. Chętnie podjęła ze mną rozmowę. Żegnając się poprosiłem o numer telefonu. Bez zwłoki mi go podała. Zaczęły się namiętne maratony rozmów. Wyraźnie dawała do zrozumienia, co było dla mnie bardzo mile, że dyskurs ze mną sprawia jej wielką przyjemność. Nie odmówiła gdy zaproponowałem spotkanie. Na pierwszą randkę umówiliśmy się w połowie drogi w Tomaszowie. Ukoronowaniem kolejnego spotkania była cudowna noc w hotelu, która jeszcze bardziej nas zbliżyła. Nalegałem na częste kontakty. Jednak zwierzyła się, że ze względu na rodzinnych jest to niemożliwe. Niemniej jednak była kawiarnia to w Tomaszowie, Lubaczowie, to w Jarosławiu. Oczywiście nigdy w Cieszanowie.

Otrzymałem skierowanie do sanatorium. Skwapliwie wybrałem Horyniec. Rzut okiem na mapę zorientował mnie o bliskości Cieszanowa. Wyjazd na turnus nastąpił późną jesienią. Już w pierwszym dniu pobytu wybrałem się do Cieszanowa. Jako miejsce spotkania, co zabrzmiało dla mnie dziwnie, wymieniła parking koło cmentarza! Niemalże bez opóźnienia moja partnerka się zjawiła. Zajechalśmy otuleni czeluścią lasu na jakąś polanę. Tutaj cudownie spędziliśmy wieczór. Niestety dysponowała ograniczonym czasem. Nie zdradzała powodów. Nie była skora do zwierzeń. Tematem tabu było jej życie rodzinne. Z półśłówek mogłem wnioskować, że nie było ono udane.

Zauważałem u niej zawsze jakieś złowieszcze uczucie lęku, że ktoś nas może zobaczyć. Tak było w Lubaczowie. Czar randki prysł gdy w lokalu, przy sąsiednim stoliku zobaczyła znajomą osobę. Wprawdzie udawała, że nic się nie stało, ale niestety od tego momentu była spięta i bez zwłoki się ze mną pożegnała. W pełni ją rozumiałem. Nic gorszego jak w środowisku małomiasteczkowym dostać się na ludzkie języki. Z niej-sca rusza plotka i ludzie są w stanie sterroryzować taką osobę.

W sanatorium żyłem tylko jednym – swoją partnerką z Cieszanowa. Najpierw w dręczącym oczekiwaniu liczyłem minuty, które mnie dzieliły do spotkania. A po spotkaniu godzinami upajałem się szczęściem z przybywania razem. Było w niej coś niepojętego, zagadkowego, tajemniczego. W jej oczach był jakiś omdlewający wyraz. I może dlatego tak bardzo mnie intrygowała.

Niestety czas szybko mijał. I ostatnie spotkanie przed moim wyjazdem z sanatorium. Miał być tradycyjny wyjazd gdzieś do pobliskiego lasu. Tego listopadowego dnia padał deszcz, było zimno i nieprzyjemnie. Z jakimś złym samopoczuciem zjechałem na parking koło cmentarza. To bliskie siedliska dusz jeszcze bardziej oddziaływało na mnie przynębiająco.

Moje zaniepokojenie wzrastało, gdy mimo mijających minut kobieta się nie zjawiała. Wreszcie odetchnąłem z ulgą gdyż usłyszałem kroki i cień osoby pod parasolem. Ku mojej konsternacji drzwi samochodu gwałtownie zostały otwarte i przed sobą zobaczyłem głowę mężczyzny! – Ty dziwkarzu masz za swoje! I po tej odzywece otrzymałem pięścią uderzenie w twarz. Zanim zdołałem się zasłonić drugie. Mężczyzna był w furii. Złapałem go za rękę ale wyrwał ją. Ze wszystkich sił broniąc się uruchomiłem samochód. – Aby twoja noga więcej na cieszanowskiej ziemi nie stanęła! Jego dalsze słowa zagłuszył huk silnika. Zatrzasnąłem drzwi i odjechałem. Potworny ból towarzyszył mi w drodze powrotnej. Już więcej mimo licznych zabiegów i starań cieszanowianki nie zobaczyłem. Nie odbierała też telefonu. Jednego pogodnego czerwcowego dnia potężna siła tęsknoty znowu przywiodła mnie do Cieszanowa i przez kilka godzin wędrowałem po ulicach miasteczka w nadziei, że ujrzę swoją miłość. Ale bezskutecznie. Mimo to uczucie doznane niegdyś z kobietą z tego miasteczka, smak spędzonych z nią godzin, chociaż minęło już kilka lat, pozostał dla mnie wciąż żywy.

Rozmówca zakończył opowieść zaciągając się papierosem. – Czy pan nie kojarzy tej kobiety? – zapytał. Niestety nie mogłem mu udzielić nawet mglistej satysfakcjonującej odpowiedzi.

Marian Ważny